

MAGDALENA REWERS

W mroku miasta
CIENIE

Magdalena Rewers

W mroku miasta

Tom II

Cienie

© Copyright by
Magdalena Rewers & e-bookowo

Projekt okładki:
Anna Tuziak

Korekta:
Patrycja Żurek

ISBN e-book 978-83-7859-621-9
ISBN druk 978-83-7859-622-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015

[Kup książkę](#)

Podziękowania

W pierwszej kolejności dziękuję moim czytelniczkom i czytelnikom, których dowody sympatii, doping i budujące komentarze po publikacji pierwszego tomu cyklu zagrzewały mnie do dalszej pracy.

Nadto podziękowania kieruję do moich najbliższych.

Dziękuję mojemu synowi, Kajetanowi, za słuszne sugestie, motywującą krytykę oraz dzielenie się wiedzą i czasem poświęconym na dopracowanie tekstu w detalach.

Dziękuję mojemu mężowi za zachętę, wiedzę niezbędną w szczególnych wątkach fabuły oraz wskazanie mi właściwego kierunku w kluczowych momentach.

Oczywiście dziękuję mojej córce – między innymi za cierpliwość przy ogarnianiu zawłości technicznych oraz pomysłowość i determinację w promowaniu mojej twórczości.

Osobne podziękowania należą się szczególnym fankom cyklu i nieodzownym doradczyniom:

Grazikowi za jej wnikliwość, świetną znajomość polszczyzny oraz zasad pisowni i za konsultacje medyczne.

Mojej serdecznej przyjaciółce Bożence Powałowskiej z Chojny za bogactwo koncepcji i nadanie niezamierzonego, a jednak całkiem trafnego kształtu fabule *Cieni*, ale przede wszystkim dziękuję jej za oddanie i niezachwianą wiarę we mnie.

Obu dziewczynom zaś za żywotne zainteresowanie postępami w pracy nad tekstem.

Podziękowania kieruję też do dwóch wyjątkowych kobiet, którym *Cienie* zawdzięczają ciekawą oprawę:

Ani Tuziak – specjalistki od grafiki – za opracowanie projektu i wykonanie efektownej okładki oraz Pauliny Powałowskiej za użyczenie wizerunku.

Prolog

W wietrzny i deszczowy listopadowy wieczór 1926 roku Leon Adamski wyszedł ze swojego mieszkania na warszawskiej Pradze. Ciemność (niezbędny element jego fachu) była mu bliska.

Nasunął na czoło rondo brązowego welurowego kapelusza i uniósł kołnierz prochowca. Nie powinien dać się zauważyć. Dyskrecja i czujność – nieodzowne cechy każdego włamywacza – były w nim tak zakorzenione, że nawet wychodząc po papierosy, wykonywał te dwa maskujące gesty.

Szedł zatęchłymi ulicami, na których niepodzielnie królująca nędza władała każdym zakątkiem tej podłej dzielnicy. To właśnie stąd pochodziły uliczne męty stolicy – żebracy, rzezimieszki, dziwki i złodzieje. Ta wylęgarnia ludzkich szumowin była też jego kolebką. Nikt nie dziwił się jego profesji, bo na Pradze mało kto znał przyzwoity czy uczciwy przepis na życie.

Dopóki, krążąc po dzielnicy z grupką takich jak on rzezimieszków, obrabiał z portfeli co zamożniejszych przechodniów, nie przypuszczał, że może się stąd wyrwać, ale gdy zrobił swój pierwszy prawdziwy skok – gdy obrabował bogatą willę na przedmieściach – otworzył oczy na lepszy świat. *Też będę miał taki dom* – zdawałoby się nieskomplikowana myśl, a jednak... Ale Leon był zawzięty; raz obrany cel przesłonił mu wszystko, dlatego zerwał z ferajną i rozpoczął solową karierę włamywacza-profesjonalisty.

Teraz, po pięciu latach, miał zgromadzony niezły kapitałik i jeszcze kilka lat, a uzbiera tyle, by wynieść się z tego parszywego miejsca. Rzuci tę profesję i stanie się praworządnym człowiekiem.

Na razie jednak musiał zaciskać pasa i mieszkać w odrażającej dzielnicy, a jedyną rzeczą, na którą Leon pozwalał sobie uszczknąć coś z kapitału, była schludna odzież. Żadne szaleństwo – ot niełatany garnitur, czysta koszula i czysty płaszcz.

Od lat nie miał nikogo, kto troszczyłby się o niego i o kogo sam musiałby się troszczyć. Matka i młodsza siostra zmarły na

suchoty, ojca zaś, pijaka i kanalię, ostatni raz widział czternaście lat temu w swoje dziesiąte urodziny. Nie był nawet pewien, czy wyrodny rodzic wciąż żyje. Najprawdopodobniej zapił się na śmierć albo dostał nożem pod żebro w jakimś ciemnym zaułku. Tacy jak on z reguły kończyli w ten sposób, dlategoż więc jego ojciec nie miałby tak skończyć?

Pogoda była paskudna, ale nie dla Leona. Szedł na robotę, więc ulewny deszcz i zimny, porywisty wiatr, a wraz z nimi zamierający ruch uliczny, były mu na rękę. Czyżby wszystkie moce świata postanowiły stanąć dziś po stronie Leona Adamskiego? *Dobrze* – pomyślał, uśmiechając się pod nosem i skręcił w stronę Targówka.

– Szlag by...! A tak dobrze się zapowiadało – mruknął z irytacją, gdy uszedłszy zaledwie parę kroków, natknął się na mężczyznę, który wytoczył się z pobliskiej bramy zalany krwią.

Jakikolwiek incydent był diabelnie nie po jego myśli. Jeśli nie zdąży przed północą, może pożegnać się z tym skokiem – drugiej okazji nie będzie. Jednak mężczyzna ociekał krwią od brody aż po pas i pojękując, zbliżał się chwiejnym krokiem, nie dając Leonowi szansy, by się z tego wywinął. Chłopak stanął więc i spoglądając na zakrwawionego człowieka, spytał:

– Potrzebuje pan pomocy? Co się stało?

Nie było odpowiedzi, tylko szklisty, srebrzysty wzrok i ciało oparte o mur kamienicy w kuriozalnym półukłonie, przywołujące go gestem ręki.

Leon desperacko nie chciał się do niego zbliżyć. *Cholera, robota pójdzie w diabły i jeszcze zaplami mi ubranie* – marudził w duchu. Nie mógł sobie pozwolić na kupno nowego, ale z drugiej strony czy mógł zignorować rannego, ślaniającego się człowieka? Nie mógł, dlatego podszedł.

Mężczyzna uniósł się, chwycił Leona za ramię i wtedy wydarzenia potoczyły się lotem błyskawicy. Nim młody przestępca zdał sobie sprawę, że nie jest wybawcą a ofiarą, ostry ból przeszył go na wskroś, jego ciało zwiotczało, a ślaniający się przed chwilą mężczyzna stał sprężysty i silny, trzymając go w żelaznym uścisku niczym szmacianego manekina. Potem była już tylko ciemność.

Kiedy się ocknął w odrapanej bramie nędznej kamienicy, wciąż była noc. A może znowu? Leon nie wiedział, ile czasu minęło od chwili, gdy stracił przytomność, wiedział jednak, że dzieje się coś osobliwego... arcydziwnego – piekący ból rozchodził się po jego ciele, docierając do każdej pojedynczej komórki, a zmysły szalały, przesadnie reagując na bodźce. Słyszał każdy szelest, widział każdy szczegół ohydnych murów bramy i obskurnej klatki schodowej, czuł najodleglejsze i najwątłejsze zapachy, ale przede wszystkim odczuwał nieodparty głód.

– Szlag... krwi? – wystękał z bólały. – *Niemożliwe!* – podpowiadał rozum.

Ale instynkt wiedział lepiej – jego ciało domagało się krwi. I to w najczystszej postaci. Nie miał pojęcia, jak go zaspokoić, ale... *Znajdź żywiciela! Znajdź żywiciela!* – krzyczał wewnętrzny głos. *Inaczej skończysz marnie.*

– Żywiciel w środku ulewnej nocy w obskurnej dzielnicy? Nic prostszego – burknął z sarkazmem i otrzepawszy dłońmi sponiewierane ubranie, wyszedł na deszcz.

Trzy bramy dalej dostrzegł majaczącą sylwetkę. Mimo wszystko los mu sprzyjał. Korpulentna, podstarzała dziwka wdzięczyła swoje nieapetyczne ciało. Jej niechlujny wygląd bardziej odstręczał, aniżeli wabił, ale Leon nie miał wyboru. Zresztą... przecież nie zamierzał jej pieprzyć. Pożywi się, a potem starannie wymyje twarz i zęby, by pozbyć się brudu i smrodu nieświeżości, będących jej atrybutami.

Zanurzył kły błyskawicznie, instynktownie znajdując najczulszy punkt na ludzkim ciele. *Wampir?! –* zawyla z przerażeniem jego podświadomość. Takiego typu przemiana się w nim dokonała? Ogarnęły go lęk i konsternacja i trudno było przewidzieć, które pierwsze zawałdnie jego jaźnią.

Leon toczył wewnętrzną walkę na emocje, a tymczasem niechlujna dziwka zaczęła wiotczyć w jego ramionach. Odsunął się przerażony i spoglądając jej w oczy, beznamietnym tonem zaczął kobietę uspokajać. Ku jego zdziwieniu wyraz zadowolenia i przyjemności zagościł na jej twarzy.

– Jasna cholera! To nie może być takie proste.
Ale nawet jeśli nie było to łatwe, instynkt samozachowawczy
prowadził go pewnie i zdecydowanie.
I wtedy poczuł drugi głód... seksu.

Rozdział 1

Lato – dziś

Leon siedział rozparty w obszernym, klubowym fotelu. Jedną nogę przewiesił przez oparcie, ręce szeroko rozłożył na boki i przy-mrużywszy powieki, przyglądał się Chwalimirowi.

Chwalimir Toporski – w Mrocznym Świecie zwany Chwalimirem z Toporów od ponad pięciuset lat władał Królestwem Ziem Zachod-nich. Silny, bezwzględny, wymagający – dzięki tym cechom utrzy-mywał ład w królestwie i spokój wśród podległych mu klanów, a od kilku miesięcy sprawował też protektorat nad pozostałymi królestwa-mi Ziem. Mimo ponad milenijnej egzystencji miał prezencję atrakcyj-nego trzydziestolatka, aczkolwiek z powagą wielowiekowej mądrości malującą się na twarzy.

Przyćmione światło biurkowej lampy rzucało cień na przystojną twarz monarchy, który ignorował wnikliwe spojrzenie swego pupila. Gdy skończy, siądną w ciepłe kominkowych płomieni i zamienią kilka zdań, pielęgnując resztki człowieczeństwa, w tym momencie jednak obowiązki były priorytetem. Odkąd IN NOMINE PATRIS wtargnęło do Mrocznego Świata, rujnując nienawiścią i żądzą mordu ład pomię-dzy nim a światem śmiertelnych, król protektor miał ręce pełne robo-ty. *Kiedy właściwie ten gość miał czas dla siebie?* – zastanawiał się Leon, bo od bardzo dawna nie było nocy, której król nie poświęcałby pracy.

Tak więc Chwalimir pisał, stawiając zamaszyste litery na ele-ganckiej papeterii opatrzonej herbem królestwa, a Leon przyglądał mu się, dzierżąc w ręce szklankę z krwawą Mary. Lubił te wieczory, gdy siedzieli w zaciszu gabinetu, a czas leniwie toczył się obok. I gdy Chwalimir oddawał się monarszym obowiązkom, on pozwalał swym myślom swobodnie dryfować. *Cholera, gdyby nie Chwalimir, co by ze mną było? Zawdzięczam temu staruszkowi wszystko* – pomyślał z wdzięcznością Młody, którego myśli podryfowały dziś do po-czątków ich zażyłości.

Ciemną, nędną ulicą Leon wracał do domu. Już wiedział, że wydarzenia ostatniej nocy zmieniły wszystko i jeśli chce przetrwać, nie może dłużej trzymać się ludzkiego życia. *Tylko co dalej?! Do kogo się zwrócić?!* – krzyczała rosnąca w nim panika. Skoro jednak ktoś mu to zrobił, to znaczy, że muszą być inni tacy jak on. Tacy jak on... *Cholera... wampiry! Kto przy zdrowych zmysłach wierzy w wampiry?!* Nawet gdyby ktoś ostrzegał go przed wampirami i nocnymi eskapadami w miasto, nie uwierzyłby. Nigdy. Zwyczajnie wyśmiałby frajera i dalej robił swoje, a jednak...

– Świat jest pokręcony – stwierdził smętnie.

Cóż z tego? Teraz był wampirem i jeśli chciał znaleźć swoje miejsce w nowej rzeczywistości, musiał jak najszybciej odszukać pozostałych – choćby jednego. *Ale gdzie?!* Jego myśli krzyczały, dając upust narastającemu lękowi, któremu przecież nie mógł się poddać. Lęk, frustracja, desperacja – to najgorsze, co mógłby sobie teraz zafundować.

Od lat był sam. Właściwie od dziecka potrafił o siebie zadbać. Porzucony przez ojca, ze schorowaną matką i małą siostrzyczką musiał szybko wydorośleć. Bezlitosna ulica – jego drugi dom – też go nie rozpieszczała. Jeżeli nie potrafisz zawalczyć o swoje – zginiesz – oto przeprowadzająca swoistą selekcję naturalną twarda zasada ulicy.

W chwilach kompletnej bezradności biegł do kościoła szukać otuchy i wskazówki. Siedział pomiędzy wiernymi, którzy, zaślepieni wiarą, wpatrywali się w odległą przestrzeń, u szczytu której kapłan głosił słowo, ale nie zwracali uwagi na zagubionego chłopca. On zaś modlił się o lepszy los dla całej ich trójki – o zdrowie dla matki i siostry oraz siłę dla siebie, by mógł otoczyć je opieką. Tylko o to się modlił. A Bóg... ignorował go, głuchy na żarliwe wołanie dziecka. Tak więc i on z czasem nauczył się Go ignorować. Nie wchodzili sobie w drogę, a od śmierci matki i siostry Leon na dobre wymazał wiarę ze świadomości i z serca. Zo-

stał kompletnie sam – trafił na ulicę i... przetrwał. Teraz też musi.

Słońce zaczynało wstawać, gdy zdeorientowany i oszołomiony, świeżo upieczony wampir Leon dotarł do obskurnej kamienicy. Przemienne pragnienie snu gnało go na samą górę, gdzie wśród kilku strychowych komórek jedna była jego domem. Zamknąwszy za sobą drzwi, zaszył się w najciemniejszym kącie izby i pogрузił w pierwszym głębokim śnie nieumarłych.

Jak długo spał? Dzień, dwa... więcej, a może mniej? Nie wiedział. Wiedział za to, że nieodparty głód trawiący wnętrzości pcha go na ulice, by zapolował.

– Psiakrew... zapolować? To niemożliwe, nie ja. Ja nie będę gryzł ludzi. Musi być jakiś inny sposób – mamrotał.

Nie było, a głód doskwierał coraz bardziej, aż w końcu wygłodniałe ciało wygrało walkę ze wzbraniającym się rozumem. Leon zdjął zaplamione ubranie, zmył z siebie zakrzepłą krew i oblepiającą go nieświeżość, a potem wyjął z szafy ostatnią przyzwoitą koszulę, niedzielny garnitur, welurowy płaszcz i kapelusz w oliwkowym kolorze i ruszył w kierunku hotelu Bristol. Jeśli nie poszczęści mu się w Bristolu, to opodał jest Europejski.

Taki wzrok to skarb – delektowała się jego złodziejska dusza. Chociaż nadludzki wzrok bez wątpienia przydałby się nocnemu włamywaczowi, ten rozdział został zamknięty, a jeśli nawet nie, to w tym momencie potrzeba krwi zagłuszała wszystko inne.

Młody wampir skradał się w ciemności niczym przyklejony do murów cień. Skąd wiedział, że tak należy? Nikt mu nie podpowiedział, a jednak... Rodzący się instynkt drapieżnika z każdą chwilą rozwijał w nim nowe umiejętności.

Bez wątpienia najprościej byłoby znów skorzystać z gościnnych ramion nieatrakcyjnej dziwki, ale Leon nie należał do mężczyzn, którzy wybierali najprostsze rozwiązania. W przeciwnym razie byłby dziś zwykłym złodziejaszkiem w praskiej ferajnie albo, obierając uczciwe życie, tyrałby w fabryce za marny grosz, ledwie utrzymując się na powierzchni roślinności. Nie, nie Leon Adamski. On chciał więcej. Oczywiście na miarę prostego chłopaka. O tym, by być bankierem, lekarzem czy prawnikiem nie

mógł marzyć, ale być wysokiej klasy włamywaczem, który kiedyś odbije się od praskiego dna i wypłynie na głębokich wodach stolicy – tak, to było w jego zasięgu. Do niedawna. Bo teraz nawet ów nieskomplikowany plan wziął w łeb.

Tak więc przemyczał ciemnymi uliczkami, zmierzając w kierunku lepszego świata, gdzie zapoluje na elitę – na słodką krew czystej, pachnącej kobiety. Takiej, o której do tej pory mógł jedynie marzyć, a która – wiedział z pierwszych doświadczeń – odda mu siebie dobrowolnie i będzie nie tylko źródłem pożywienia, ale i rozkoszy. Już nie tknie dziwki takiej jak ładacznica, którą ukąsił, a potem przeleciał owej feralnej nocy, gdy ogromny głód seksu sprawił, że nieatrakcyjność partnerki przestała mieć znaczenie. Tak, zdecydowanie nigdy więcej nie poniży się tak bardzo.

Rysy Leona zamazywały się w opadającej mgle i tylko uliczne latarnie rzucały słabe światło na zmęczone, wygłodniałe oblicze. Kiedy wszedł na Krakowskie Przedmieście, jego krok stał się pewniejszy, sprężystszy. Już nie przemyczał jak wypłoszone zwierzę, tylko jawnie wkroczył w świat ludzi bogatych i pięknych, do których nigdy wcześniej nie miałby śmiałości się zbliżyć.

Im bliżej był celu, tym bardziej wyostrzone zmysły chłoniły atmosferę luksusu. Zapach drogich perfum i eleganckiej wody kolońskiej drażnił nozdrza, blask hotelowych światel, odbijając się w drogich klejnotach, męczył oczy. Był we właściwym miejscu. Pozostało wybrać ofiarę i zapolować. Skoncentrował wzrok na ludziach przed hotelowym wejściem i wtedy ją dostrzegł.

Eteryczna brunetka była olśniewająca. Niewysoka i delikatna, o kobiecych kształtach. Jej kruczoczarna fryzurka à la Pola Negri i intensywny makijaż oczu o skrzącym się spojrzeniu podkreślały porcelanową cerę. Drobne usteczka w kształcie serca w karminowym kolorze były tak zmysłowe, że nie mógł oderwać od nich wzroku. Nie wyróżniając jednego określonego typu urody czy sylwetki, Leon gustował po prostu w kobietach pięknych, a ta bez wątpienia była piękna – niesłychanie. Poza tym przecież nie przyszedł tutaj szukać żony. Jeszcze raz rzucił okiem na kobietę – tak, to ona będzie jego celem.